Ner 19. Kraków, 13go Maja. 1861.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 złr. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 złr. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 złr. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 złr. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 7 cent., nastepnie po 4 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stępel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie,** Ulica Sławkowska.
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

Prosimy usilnie o spieszne nadesłanie zaległości za kwartał od 1go Kwietnia do 1go Lipca b. r.

Redakcya.

Różne stopnie poświęcenia,

przez

Karola Dra Libelta,

Autora „Dziewicy Orleańskiej“ i wielu innych znakomitych dzieł.

(Ciąg dalszy).

Atoli, jak się rzekło, ułomność natury ludzkiej staje osiągnieniu takiej świętości na przeszkodzie, i kontentować się musimy tylko większą lub mniejszą ilością czynów poświęcających. Są przecież przedmioty acz zewnętrzne duchowi naszemu, ale tak ściśle z istotą jego spojone, że ich poświęcenie, jeżeli nie wyrównywa poświęceniu siebie samego, to przynajmniej najbliższe obok niego zajmuje miejsce.

Temi przedmiotami jest czas, praca i uczucie. Czas, jest to forma oderwana od żywota naszego, niejako nieustający bieg płynącej rzeki. Niema żywota bez czasu, ani czasu bez żywota: jedno i drugie jest jednością, płynem. Kto żył lat 60, miał tą miarą czasu zakreślony żywot swój. W tych sześćdziesięciu leciech płynęło i rozpłynęło się w wieczność jego życie. Każda chwila, dzień i rok każdy, wypełniony jego żywotem, upływał niepowrotnie w przeszłość i zbliżał go coraz więcej do śmierci, do ustanku wszelkiego jego duchowego działania na ziemi. Dla tego czas jest największym skarbem człowieka, bo jest niepowrotnym, bo on jest życiem samem.

Każdy wiek człowieka ma czas swój, i w każdym wieku jest inna wartość czasu. W dzieciństwie potrzebny do rozwoju i wykształcenia ciała, w młodzieńczym wieku do wykształcenia umysłu i serca, w wieku dojrzałości do prac społecznych, w starości do przygotowania się na śmierć. Tym okręgiem wypełnia się żywot ziemski ducha człowieczego, przeznaczon na to, aby spełnił posłannictwo swoje wedle celów i postanowień Stwórcy. Morderstwo i samobójstwo, a do tego ostatniego należy gwałt zdrowiu niesfornem życiem zadawany, jest dla tego największą zbrodnią, że ów okrąg żywota człowieczego samowładnie przecina wbrew celom samego Stwórcy. W osobie zamordowanej jest czas zamordowany, i wszystko to, co w łonie swojem jeszcze dla przyszłości mieścił.

Z takiego pojęcia czasu, jako formy żywota człowieczego wypada, że gdy czas, a z nim żywot nieustannie płynie, nieustannie go też poświęcać trzeba dla Boga, jeżeli żywot sam ma być święty; wypada, że niepoświęcenie czasu dla Boga jest czasu marnowaniem.

Jak się czas dla Boga poświęca, pokazuje *praca*, będąca wypełnieniem czasu. Jak czas był formalną, tak praca jest materyalną stroną żywota ludzkiego. Jak ptak do latania, ryba do pływania, tak człowiek stworzon do pracy. Bo pracą pojedyńczych ludzi dokonywa się wielkie przeznaczenie ludzkości, i nią się spełniają i dokonywają opatrzności cele. Człowiek bez pracy byłby mniej, aniżeli zwierzę, boby był bez celu, żywy i dla tego odrażający kontrast całej budowy ciała swego z tem, co się jako potwór, bez pracy wychowany przedstawia. Aby było podobieństwo, taki potwór z człowieka utworzyć, trzebaby go zaraz z dziecka od społeczeństwa wyłączyć, i gdzieś w lochu jak zwierzę karmić. Kasper Hauser był takiej straszliwej potworności przykładem.

Jak czas, tak i praca w wartości i w znaczeniu swojem do wieku człowieka stósować się musi, a — że odbywa się siłami ciała i umysłu, z konieczności wypoczynku potrzebuje. Krom tego wypoczynku całe życie człowieka powinno być pracą. Praca jest to nieustające działanie w nas ducha wszystkiemi potęgami umysłu i wszystkiemi narzędziami ciała, które tamtym są podległe. Bierna praca jest kształceniem ducha i trwa przez całe życie, czynna praca jest jego produkcyą, która jeżeli jest najpłodniejszą w wieku dojrzałym, niemniej przecie poczyna się już z wiekiem dziecięcym, i do ostatnich krańców starości sięga. Świat społeczny, świat dziejowy, umiejętność i sztuki piękne, panowanie nad naturą, zgoła postęp i cywilizacya, są pracy ludzkiej dziełem, nią dopełnia się wola Boża na ziemi. W różnej mierze wedle zdatności, stosunków i położenia, pojedyńczy do tego dzieła ludzkości się przyczyniają, które się buduje przez wieki i narody; ale każdy przyczynić się doń może i przyczynić powinien, bo to jedyny cel jego żywota.

Praca więc przedewszystkiem jest poświęceniem, bo jest widomą światłością ducha człowieczego i odświetlaniem się przez nią nieskończonego światła Bożego. Poświęcamy więc czas dla Boga, jeżeli mu pracę poświęcamy. Praca w tem znaczeniu jest najszczytniejszą i najskuteczniejszą modlitwą, jest nabożeństwem w czynie. Nabożeństwo bez pracy jest czcze w sobie; praca bez nabożeństwa nie miałaby swego namaszczenia. Ta praca nie jest nabożna, a zatem odarta z charakteru świętości i poświęcenia, która ani z Bogiem poczyna, ani do niego się odnosi; która uważa świat za maszynę, a ludzi za kółka w niej, która sama dla tego nie jest żywotem, ale mechanizmem, która nie wierzy w du-

cha, ale w materyalizm; że materyalizm tylko interesem goni. Wszakże trzebaby być samym czartem, aby być w pracy negacyą zupełną Boga; i największy zbrodniarz i zupełny niedowiarek nie może samych zbrodni spełniać, żyć samym grzechem, i on pełni dobre uczynki choć wielekroć mimo wiedzy i woli (?); i on w przeciwieństwie swojem służy celom opatrzności. Jeżeli więc powiedziano: lepiej grzeszyć, niżeli nic nierobić, nie powiedziano za wiele. Próżnowanie jest istotną negacyą pracy, a zatem negacyą celów boskich, negacyą żywota własnego. Wyraz ten dokładnie maluje próżnię ducha nic nierobiącego człowieka. Próżnia ducha jest próżnią żywota, próżnią czasu, którą koniecznie zapełnić czemś trzeba, albowiemby człowiek z nudów umarł. Zapełnia ją więc człowiek próżnujący grzechem lenistwa, szuka rozrywek i rozkoszy cielesnych, żyje bez celu z dnia na dzień, i myśli tylko nad tem, jakby czas zabić? Tego rodzaju próżnowanie zagęszczone szczególniej w wyższych stanach, gdzie bogactwo uważane za środek do nic nie robienia i uchylania się od obowiązków i celów społeczeństwa; kiedy przeciwnie im kto więcej posiada środków, tem więcej ma obowiązków do pracy. To też być inaczej nie może, jak że—gdzie w wyższych warstwach społeczeństwa taka próżnia ducha się wkradła, tam społeczeństwo z czasem rozpaść się musi, naród gnuśny upadnie i pójdzie w posługę i niewolę pracujących narodów. Praca gromadzi, wzmacnia i buduje; próżnowanie marnuje, osłabia i rozwala. Próżnowanie jest nieustającym grzechem, bo nieustającem przeczeniem przeznaczenia człowieczego; ono też jest przeczeniem i niemożnością wszelkiego poświęcenia. Z drugiej strony przekonywamy się, że poświęcić co, znaczy tyle, co dać wyższemu celowi, a więc Bogu na ofiarę, — że kto pracę i czas Bogu poświęca, cały mu żywot swój poświęca, a więc i siebie poświęca. Atoli znowu tu tylko widzimy modłę doskonałości, do której nawet najwięcej wybranym tylko zbliżyć się podobna. Myśl, słowo i czyn, jako trzy stopnie objawiania się ducha człowieczego, są oraz trzema postaciami pracy jego. Każda z nich odtąd z ducha pojedyńczego wystąpiła i przeszła w pojaw zewnętrzny duchowości ogólnej, ma tam konieczne, logiczne następstwo, konieczny związek i cel, i staje się jednem ogniwem niezmierzonego splotu tego wszystkiego, co się dzieje i wyrabia.

A więc każda myśl szczęśliwa, która na cię stąpiła, jeżelibyś ją z gnuśności pominął, jeśliby przepadła w zapomnienie jest stratą dla ludzkości, jest zmarnowaniem natchnienia Bożego, a gnuśność taka ducha, grzechem; przeciwnie myśl taka podjęta i rozwinięta dla dobra ogółu,— a w dobru ogółu jest zawsze twoje własne objęte —jest pracą poświęcającą. Słowo każde w stósownym czasie wyrzeczone lub napisane może być wielkiego znaczenia i wpływu; jeżeliś go nie wyrzekł, acz mogłeś, z lenistwa ducha, lub co na jedno wychodzi, z braku odwagi i niepoczucia obowiązku twego, zmarnowałeś niepowrotną stosunkami nabrzmiałą chwilę czasu; przeciwnie, gdyś to uczynił z natchnieniem i odwagą, podjąłeś pracę w duchu poświęcenia. Nareszcie czyn jest twego zawodu, twoich wyższych powinności wyrazem; grzeszysz ile razy go niedopełniasz z nałogu próżnowania. Stracone na nicnierobieniu godziny i dnie w ciągu całego żywota twojego, urosną w ogromny rozmiar czasu, wskażą wyłom i szczerbę, jakąś uczynił w własnej i w ogólnej pracy ducha, i sam się zdumiejesz, gdy ujrzysz przy krańcu dni twoich, że żyjąc życiem ziemskiem pół wieku, zaledwie parę lat żyłeś życiem pracy, życiem przez nią Bogu poświęconem. Tylko praca jest żywotem, owoc przynoszącym, próżnowanie wegetacyą bezowocną.

Ciepłem żywota naszego są *uczucia*, a jako takie najściślej spojone z samą iścizną ducha. Jak ciepło w naturze jest bodźcem wegetacyi i środkiem, którym chemizm natury składa i rozkłada ciał atomy; tak i uczucia są bodźcem pracy i wszelkich szlachetnych popędów, a razem środkiem wiążącym z sobą, często najściślejszym węzłem, powinowate istoty duchowe, albo odpychającym je od siebie. Miłość i nienawiść są najogólniejszym wyrazem tych uczuć. Są to tak potężne silnie ducha, że je tylko samo poświęcenie pokonać może. Szczytem religii nowego zakonu jest właśnie to, że się podniosła nietylko do miłości bliźniego, ale że nawet nieprzyjaciołom przebacza. Z miłości własnej robi chrześcianin poświęcenie dla miłości bliźniego, a z nienawiści, zapalczywości i zemsty robi ofiarę dla Boga i odpuszcza winowajcom swoim. Zaparcie się siebie samego, którego święty zakonodawca po nas wymaga, jest tem poświęceniem, którem się nietylko zbawienie osięga, ale i wszystkie wielkie przedsięwzięcia tu na ziemi dokonywają. Jest to rozbrat z tem wszystkiem, co nas do materyalnych interesów tego świata przywiązuje, aby się tem swobodniej i całkowiciej oddać duchowemu działaniu, którem się jedynie ludzkość uszlachetnia, uzacnia i uświęca. Trzeba wielekroć zadać gwałt najdroższym uczuciom serca, rozłączyć się z tymi, z którymi najświętsze połączyły nas związki, wyrzec się domu i wygód życia z dobromienia płynących, a poddać się natomiast trudom i znojom, prześladowaniom i męczeństwu — trzeba to wszystko poświęcić, jeżeli chodzi o dopięcie celu, który jest wyższy i świętszy, niżeli to, co serce nasze zajmuje. Takich wielkich poświęceń wymaga wszelkie odrodzenie się, czy pojedyńczego człowieka, czy narodu, czy ludzkości; odrodzenie się z grzechu do cnoty, z błędu do prawdy, z niewoli do wolności. Takich poświęceń wymagał Chrystus po swoich apostołach i uczniach, wymagał pierwiastkowy kościół chrześciański odradzający z niewiary i pogaństwa ludzkość całą. Nie zarzućmy temu twierdzeniu, że Chrystus zapowiedział i zesłał w pomoc na apostoły i ucznie swoje Ducha Świętego. Ta pomoc Ducha poświęciciela, ducha tworzyciela jest wszędzie, gdzie się praca ducha przez ludzi odbywa, gdzie się coś poświęca, gdzie nowa idea się tworzy i jako nowa siła w świat wstępuje. Boć poświęcenie jest świeceniem światła Bożego przez nas i czyny nasze, jest więc zstąpieniem samego Ducha Bożego na pracowników, czyniących poświęcenie. W tym właśnie Duchu, co zstępuje na nas jako światło wyższe, jako zapał, jako natchnienie, leży moc i zwycięztwo poświęcających się. Materyalna moc ukorzyć się musi przed duchową, i bramy piekielne nie przemogą jej. Atoli obok uczynków i czynów, wiary i czystości serca potrzeba. Poświęcenie bez wiary jest niepodobne, bo wiara je tworzy, — wiara w świętość i wielkość sprawy, której się poświęcam, — wiara, że stawając w obronie onej sprawy, wypełniam wolę Bożą. Niepodobnem równie jest poświęcenie bez czystości serca, bo jeżeli tam inne uczucie zasiadło i inny ziemski interes przemaga kłamię Bogu, sobie i ludziom, o poświęceniu mówiąc dla sprawy jakiej świętej.

(D. c. n.).

MARYNA MNISZCHÓWNA.

(Dalszy ciąg).

XII.

Rzewna była scena rozstania się Maryny z matką, po odbytem już weselu, i przy wstąpieniu w drogę tak da-

lekiej podróży. Z autentycznych źródeł czerpane opisy, malują Marynę, jako najprzywiązańsze dziecko do rodziców, jako najdroższą córkę, matkę swą serdecznie kochającą. Opisy te podając także cały i obszerny dyaryusz podróży Mniszchów do Moskwy, poczętej w styczniu 1606 roku, a trwającej niezmiernie długo, „po części dla niestatecznej zimy, i rujnującej się, jak na wiosnę drogi", z wielką prawdą malują tęsknotę i łzy, opuszczającej ojczyznę swą Polki, której ani obecność ojca, ani refleksye carskiego posła uspokoić nie mogły. „Jechał z nią ojciec wojewoda, także posłowie królewscy. Mikołaj Oleśnicki, kasztelan małogoski, Aleksander Gąsiewski referendarz litewski, książę Wiśniowiecki, Maciej Niemojewski, oraz Kasper Sawicki Jezuita, i wielu innych z rycerstwa, w licznym żołnierzów konwoju."

W kwietniu dopiero i to dnia 17go przybyli na granice moskiewskie. Tu Maryna uczuła w swem sercu żal, nie dający się zimnym wyrazem opisać. Żal ten porzucającego swą ojczyznę Polaka — nie da się porównać z żadnem uczuciem ziemskiem — opisać go umiał tylko Mickiewicz — a my go głęboko w sercach swych czujemy, ilekroć razy przyjdzie nam choć na czas jakiś porzucić tę drogą, najdroższą naszą ziemię. A Maryna wiedziała jeszcze prócz tego, iż opuszczając Polskę, opuszcza ją na zawsze, iż jej już nigdy nie zobaczy. O zaprawdę żadne widoki ziemskie nie zdołałyby tego żalu jej serca przezwyciężyć — żadne, choćby najświetniejsze, choćby niemi była cesarska korona, ale jedna tylko prawdziwa i szczera miłość, mogła sercu kobiety dodać sił i mocy, do przebycia tej próby boleści i do porzucenia ojczyzny na zawsze. A gdy z tą miłością łączyła się i nadzieja zrobienia czegoś kolwiek dobrego dla Polski — zwycięztwo męzkiej, że tak powiem duszy Maryny nietylko na przebaczenie, ale i na cześć winno zasłużyć.

Przez Krasne, Łubno, Smoleńsk, do którego to miasta wjazd Maryny „był bardzo wspaniały", Drohobuz, Mozajsk przejechawszy, ujrzeli nareszcie wieże i dachy stolicy. Przed miastem zrobiono, na przyjęcie Maryny bogate przygotowania, namioty, kobiercami wysłane gościńce oczekiwały oblubienicy cara. Aż ukazała się nareszcie Mniszchówna „i gdy na bogatem krześle w pośród namiotu usiada, rzędem do niej przystępując, z trefną postawą i dziwnemi ukłony, panią swoją witali bojarowie, a z niską czołobitnością poddaństwa swego hołd wykonywali." Również gościnnie i uprzejmie witano pana wojewodę sandomirskiego, i wszystkich jego towarzyszy*). W samej zaś Moskwie przyjmowano przybyłych właśnie posłów polskich: „tam kniaź Hrehory Konstantynowicz Wołkoński z Andrzejem Daszkowiczem Iwanowem, jako przystaw od hospodara swego na powitanie wysłany, mówił te słowa: „Najjaśniejszy i nieposiedzony samodzierżca i w. hospodar kniaź Dymitr Iwanowicz, Bożą miłością car, wiel. kniaź wsiej Rusi, i wszystkich tatarskich carstw, itd. wskazał nam chłopom swoim, was posłów Zygmunta IIIgo króla polskiego i w. ks. l. potkać, przywitać i o zdrowiu pytać, do gospody zaprowadzić, i przystawami u was być." Po takiej przemowie nastąpiła ze strony posłów polskich stósowna odpowiedź, po której udali się na wskazane sobie, i wygodnie „aż do zbytku" przygotowane kwatery.

Car Dymitr, ktory naprzeciw małżonce wyjechał był aż do Mozajska, towarzyszył jej w podróży do Moskwy. W towarzystwie tego uroczystego jej wjazdu do stolicy, znajdowało się wiele pań polskich, jako to: Tarłowa chorążyna, pani Herburtowa, pani Kazanowska; z moskiewskich zaś były: Kniazini Mścisławska i inne.

XIII.

Przybywszy Maryna do Moskwy, po skończonych uroczystościach przyjęcia jej przez bojarów i wszystko miasto, udała się do matki Dymitra, która mieszkała w monasterze obok cerkwi Wniebowstąpienia Pańskiego. I mieszkała tam przez dni pięć, przez które ją *Car* często odwiedzał.

Nazajutrz posłowie polscy byli na audyencyi u Dymitra. Tam oddawano podarki od króla jmci carowej, i Dymitrowi od posłów polskich. Między podarkami temi wiele też było bardzo kosztownych, złotych drogiemi kamieniami sadzonych. Po skończonej ceremonii Offanaziów i Własiejew podskarbi, w imieniu cara dziękując posłom za dary, wyrazili im życzenie Dymitra „aby posłowie u stołu jego byli, a chleb jego z nim jedli."

Już wyżej spomnieliśmy, że Dymitr obdarzając wielką sympatyą Polaków a szczególniej Jezuitów, oburzał na siebie swoich poddanych, i coraz więcej niechęci w nich obudzał. Teraz zaś, dalej rzecz naszą prowadząc, dodać musimy, iż sami Polacy, mianowicie też ci, których *Mniszech* wojewoda, ze sobą w licznym poczcie zbrojnych do Moskwy, nie tyle dla bezpieczeństwa, ile dla pompy dworskiej, sprowadził, swojem postępowaniem, zbytkami, a co najgorsza nawet i pijatyką narażali się Moskwie, i wrodzoną nieprzyjaźń tych dwóch narodów między sobą coraz bardziej rozniecali. „Pyszni z protekcyi monarchy, do którego bliskiej zguby przykładali się sami, nie opuszczali żadnego zdarzenia, by nieokazać wyższości swojej, a nawet pogardy. Naprożno były napominania starszych; nieraz niebaczna młodzież zagrzana winem, w postaci szalonych przebiegała ulice stolicy, naigrawając się, bijąc nawet pospólstwo; wyłamywano drzwi, nieprzepuszczano i niewiastom." Wszystko to najokropniejszą chmurę ściągało na Dymitra, którego przeciwnicy, każdą im przez Polaków do nienawiści podaną okolicznością, czuli się silniejszemi i pewniejszemi wygranej. Na nieszczęsną Marynę, której los zawisł już teraz od losu Dymitrowego, gotowały się też same ciosy nieprzyjaciół, jakie godziły w Cara.

Ona jednakże nie była tak nieprzyjaźnie i niechętnie widzianą od Moskali, jak inni Polacy — kniaź Michał Szczerbatow, powiada o niej, iż „wdziękami, hożą osoby swej postacią, uprzejmością dla wyższych i niższych, ujmowała serca dla siebie. Zalety jej, (gdyby okoliczności dozwalały) mogły by jej zjednać miłość Moskali; lecz wiele przeszkód było ku temu." Sam więc moskiewski pisarz przyznaje Marynie przymioty takie, jakie ją w oczach Moskwy w dobrem świetle przedstawiały.

Przeszkody zaś te, które drogę do jej miłości narodu moskiewskiego tamowały, nie były wcale po jej stronie, ale po stronie cara, i nieumiarkowanych Polaków, w Moskwie przebywających.

*) Na przywitanie Marcina Stadnickiego w imieniu Polaków, do Maryny uczynione, odpowiedziała ona następującemi słowy: „Jakem się jedno od miłych rodziców swych, z domu j. k. mości w tę drogę od Boga sobie naznaczoną ruszyła, waszych mości wielkich chęci i życzliwości, aż do tej godziny, nie przestawałam doznawać. Nie ważyliście Waszmość sobie milej ojczyzny, przyjaciół, małżonek, potomstwa odjechać, a to wszystko mnie gwoli; podnieśliście koszty, niemałe niewczasy i trudy. Ja też te niewczasy, te sobie chęci waszmościów, i teraz i na przyszłość wdzięcznie i mile przyjmuję, i w pamięci mieć chcę. Cara jmci prośbami memi do tego wieść będę, jakoby wszelką chęcią i wdzięcznością każdemu z waszmościów nagradzał i sprawił, byście tych prac podjętych dla mnie nie żałowali, a szczęśliwie się do domu wróciwszy, milej ojczyznie dobrem spomnieniem mnie przypominali, a życzliwość waszą naprzeciw mnie, carowi jmci i ludowi memu, statecznie zachować raczyli."

Nadszedł wszakże dzień 3go maja, w którym odprawił się ślubny obrządek „z przepychem i wspaniałością, które tylko skarby bogatej Azyi wystawiać mogą.“ Szaty cara i carowej, korony, cała nakoniec cerkiew od mnóstwa dyamentów i drogich kamieni, takim lśniły się blaskiem, iż ledwie oczy ludzkie znieść go mogły. Patryarcha włożył koronę na skronie Maryny, stał przy niej spowiednik jej Kacper Sawicki Jezuita, a drugi także Jezuita ks. Mikołaj Czernik łacińską oracyą winszował.“ Ten niezwykły i zupełnie dla Moskali nowy sposób przemawiania, oburzył niemało obecnych, którzy naturalnie ani słowa z całej oracyi księdza Jezuity nie rozumieli. Nastąpił potem wspaniały bankiet, na którym „muzyka carowej zwyczajem polskim grała.“

I bankiet ten huczny i wesoły — będący najniewłaściwszym prologiem do nastąpić mającej sceny, trwał aże dni szesnaście. Nasza szlachta piła bez umiarkowania, i w skutek tego wydarzało się na on czas mnóstwo gwałtów i burd, o których z boleścią, dla prawdy, nie możemy przemilczeć.

XIV.

Nie mógł już dłużej tlić się w ukryciu spisek na życie Dymitra. Spomniani wyżej przywódzcy jego dwaj bracia Szujscy, a mianowicie „Wasil buntował tajemnie wojsko i pospólstwo, strasząc, że Polacy na obalenie ich państwa i religii czekają tylko na Chodkiewicza, ażeby z liczniejszem wojskiem przybywszy zamysły ich do końca przyprowadził.“ Wypowiedzenie wojny Szwedom, zrobione przez Dymitra ujęciem się za Zygmuntem III, oraz nieprzyjazne stósunki Moskwy z Turkami, dopomagały wielce Szujskiemu do zupełnego przekonania zbuntowanych, iż Dymitr car, miast być ojcem i opiekunem Moskwy i jej wiernych synów, jest najniebezpieczniejszym ich wrogiem. Nadszedł też nareszcie czas, w którym tlejąca od dawna iskra buntu okropnym wybuchła pożarem.

Właśnie był to dzień siedmnasty z kolei godów weselnych Maryny — dzień zakończający całą epokę jej szczęścia i — że tu powiedzieć musim — epokę cnoty i szlachetnych uczuć — a rozpoczynający krwawe prześladowanie biednej i tułactwo — i niezwykłe jej sercu namiętności tj. niepohamowaną dumę i chęć przezwyciężenia losu, i użycie do tego najgorszych, najnieszlachetniejszych środków. Dzień ten przypadł na 20 maja.

W dniu tym o samym wschodzie słońca dzwony moskiewskie ogłosiły miastu godzinę nieszczęsnego buntu. „Ruszyli się co żywo Moskale z niezmiernym hałasem, których się w mieście na kilkanaście tysięcy zbrojnych znajdowało.“ Ci rozpierzchli się po całem mieście wyprawiając najokropniejszą rzeź Polakom, których mieszkania dniem wprzódy ponaznaczano na zniszczenia. Znaczny oddział pijanego żołdactwa, którego animusz wodzowie wódką tylko rozognić umieli, rzucił się do carskiego pałacu i pomordowawszy strażników, samego cara, pragnął jak najprędzej pochwycić w swoje szpony. Car w swym gabinecie strzeżony przez wiernego Bosmana, spiącego w przedpokoju, przejęty trwogą alarmu odgaduje jego przyczynę. Naprożno mu donoszą, iż tylko dzwonią na ogień — uzbraja się i czeka dalszej chwili, Bosman tymczasem dostaje się w ręce spiskowych — wiedziony i bity przez nich woła na cara: „Zdrada, ja umrę a ty radź o sobie“, Dymitr widzi grożące niebezpieczeństwo, któremu się obronić nie podobna, ratuje się więc ostatecznie, wyskakuje oknem. „Z wielkiego jednak szwanku nie mogąc się na nogi podnieść, kijmi, kamieniami, bronią, i cokolwiek komu trafunek do ręku przyniósł, okrutnie na miejscu zabity poległ. Ciało jego wespół z trupem Bosmana, wodza i wiernego przyjaciela, związane, zawlokło pospólstwo na rynek, gdzie przez dwa dni nazbytkowawszy się nad niemi, w popiół obróciło.“

Po zabiciu Dymitra nastała dopiero okropna rzeź w Moskwie. Bojarowie i przez nich zbuntowany naród mścił się dopiero teraz za krzywdy wyrządzone im przez Dymitra, i za jego przychylność bardziej ku Polakom skierowaną, niż ku Moskwie. Krew polska lała się strumieniami po ulicach stolicy moskiewskiej — a z jaką wściekłością i z jakiem tyraństwem mordowali Moskale naszych braci — wiadomą zapewne jest rzeczą każdemu, kto w dzisiejszych czasach umie już czuć i myśleć... Jednych więc zabijano, drugich zaś „do więzienia wziąwszy, na zamki różne ich rozesłali, co znaczniejszych, jako: p. wojewodę sandomirskiego, pana starostę sanockiego syna jego, księcia Wiśniowieckiego Konstantego, pana Małagowskiego *), który był posłem na to wesele od króla jmci, p. Ratomskiego, i samą carową ze wszystkiemi białogłowami polskiemi“ **).

(C. d. n.)

POEZYA.

(Wyimek z poematu „GORDYAN“).

Jest w duszy świętych pomazańców Pana
Iskra potężna z niebios im zesłana,
A tli się ogniem wiary i miłości,
Dziwna jest w życiu, dziwniejsza w piękności.
Komu ta iskra raz do duszy wpadnie,
Ten dla niej życia z samych niebios kradnie;
A komu oko światłem opromieni
Ten widzi wszystko, i śród nocnych cieni;
A dziwną władzę ma nad serc jestestwem
Jeźli je ognia zapaliła chrzestem:
Bo iskry takiej niezbadana władza
Zgasłe rozświeca, zamarłe odradza.
Jeźli pierś czyją raz jeden ogrzeje,
Wróci jej sercu wszystko, bo — nadzieję,
A strony jego tak dźwięcznie nastroi,
Że pieśń zaśpiewa, co piekło rozbroi.
A jeśli w słowie nie zgrzeszą herezyą,
Tobym tę iskrę nazywał poezyą!
O! święta siło, która skroń dziecięcą
Blaskiem złocistej opromieniasz gwiazdy,
Pod nogi ścielesz mu do lotnej jazdy
Róże, i kwiaty, co pięknością nęcą —
O! siło, która przypinasz mu skrzydła,
Że małe dziecię, jako olbrzym rośnie,
I krasisz światy w piękne malowidła,
Że wszystko widzi w pogodzie i wiośnie!
O czarodziejko, co tłem wyobraźni
Przeszłość mu życia ukazujesz jasno,

---

*) Aleksandra Oleśnickiego, kasztelana małogoskiego.
**) Maskiewicz.

Dla ciebie warto znieść najsroższe kaźni,
Poświęcić wszystko, nawet miłość własną.

J. K. Turski.

PROTEKCYA I INTRYGI,

USTĘP z ŻYCIA ZNAKOMITEGO

RZEŹBIARZA

w Polsce z wieku XV.

I.

Dom Pana Burmistrza.

Było to r. 1489. Proszę więc zauważyć, zaraz z góry powiadam, iż nie dziś. Działo się w Krakowie. Panował Kazimierz Jagiellończyk w kraju, a w stolicy rządził p. Burmistrz Wyrębski, herbu Dolewa, dwojga imion Żegota Jacenty. Pan Burmistrz Wyrębski mieszkał w rynku, we własnym domku, który sobie za prawnie (jak mówił) uciułany grosik był kupił. Miał pan Burmistrz oprócz kamienicy i żonę i córkę. Jejmość Pani Burmistrzowej było na imię Helżbieta, a pannie burmistrzance Henryka na pierwsze, a na drugie Zosia, zwano ją jednakże Zosią. Wolałbym doprawdy zacząć opisy tych osób od Zosi, ale cóż, porządek rzeczy wymaga inaczej: i tak już podobno niedbale rzecz całą rozpocząłem. Ale tu chodzi o rzecz, tj. o Zosię i kogoś jeszcze bardziej interesującego. Więc do Pana Burmistrza. Pan Żegota Jacenty Wyrębski był wzrostu średniego, głowę miał podługowatą, na niej włos czarny, trochę już szpakowaty, jedno oczko przymrużone, drugie brzydkie, bo maleńkie — i świecące jak robaczek świętojański — wąsik strzyżony, brodę podługowatą — głowa ta bywała zawsze na lewą stronę pochylona, bo kark pana burmistrza był czy nadłamany, czy ochwierutany, a równolegle z pochyloną głową, wypadało wywichnięcie jednej lewej nogi — na którą biedny pan Żegota uskarżał się przed całym Krakowem. Były to skutki różnych przyczyn, ale tych nikt się nie domyślił ani przed tem ani po tem. Pan Burmistrz ubierał się zawsze elegancko, strój jego, choć na każdym najpiękniejszy, boć z żupana i kontusza się składający, nie wydawał się na nim tak ładnie. Ztąd robiono wnioski złośliwe, że p. Żegota nie Polak, że pochodzi z innej nacyi, że to, że owo, ale ktoby temu wierzył. Pan Jacenty trzymał się swego obowiązku, a raczej swej godności, jak na takiego dostojnika wypadało. Nie wdawał się z bracią szlachtą za pan brat, a ławników i rajców traktował według prawa z góry. Czyby więc dla tego, czy dla czego innego, nie lubiono pana Jacentego. — Połowica jego niegdyś śliczna *Niemka*, dziś podstarzała już Jejmość przywieziona była aż z zagranicy przez pana burmistrza, bo jak głos niesie, żadna Polka nie chciała mu oddać swej ręki, i dla nie bardzo przyjemnej powierzchowności i dla złej i nieprzychylnej renomy, na jaką sobie pan Jacenty zasłużył. Więc Niemkini podstarzała się już w Polsce, a w jej domu nikogo nigdy w gościnie nie było. Pan Jacenty stetryczał, pani Jacentowa znudziła sobie świat i życie, wzdychając już po cichu tylko za swoją ojczyzną, złą mową śpiewając o niej piosenki. Pan Burmistrz gniewał się okropnie na żonę, kiedy mu zaczynała wyrzucać *po co ją przyniósł* do tego kraju, gdzie jej za nic nie mają. Tupał, świstał, klął aż okna drżały, i Bóg wie, coby jeszcze nie wyrabiał, gdyby nie aniołeczek, duch opiekuńczy ich domu, Zosieńka, która zawsze umiała jakoś niezgodę domową uśmierzyć. Pan Burmistrz prócz złota — nic też więcej nie lubił na świecie po Zosi. Pani Burmistrzowa mówiąc prawdę, nie kochała tak swej dobrej córuni, jak na to zasługiwała, ale miała podobno tę do tego przyczynę, że sama po niemiecku wychowana, chcąc nie chcąc musiała pozwolić na wychowanie córki po polsku, czegoby mówiąc nawiasem nigdy nie potrafiła zakazać, bo Zosieńka wzrosłszy na polskiej ziemi, całą duszą była Polką — a nie pytajcie się więc już panie czy była piękną? O! piękną była, prześliczną była Zosieńka.

Lecz czemże będą moje słowa w porównaniu wyrazu jej rumiano-białawej twarzyczki, na której piękne, czarne oczy, uśmiechały się jak miłość w sercu niewieściem, jak pieśń na lutni wieszcza; krucza kosa warkoczy po prostu spleciona... to chyba płaczącej brzozy strumienie, z powagą do ziemi spływające. Czy widzicie? — Przebacz śliczniutki aniołeczku z 15go stulecia... przebacz nieudolnemu, że cię skrzywdził w oczach czytelniczek o cztery wieki później żyjących — ja wiem tylko, jak ty wyglądałaś — określić ciebie dokładnie niepodobna. Zosieńka więc była prześliczna. I to było dziecię pana Jacentego? Zupełnie doń niepodobne. Do matki troszeńka — znawcy jednak twierdzili że nosek jej w delikatny, ale to w tak delikatny łuczek zgięty, że tego na oko nikt nie pozna, że ten nosek podobnym był do nosa pana Jacentego, o którym nie powiedzieliśmy jednakże nic złego, ale i to tylko podobieństwo było maleńkie. Może i to być. Zeznanie to należało nam koniecznie tu przytoczyć.

Zosieńka więc, jak powiedzieliśmy, była aniołem opiekuńczym w domu pana burmistrza. Na jej widok uśmierzał się gniew ojca — czoło się rozpogadzało, i usta do śmiechu się nastrajały. I pani burmistrzowa jakoś także gniewać się przestawała:, bo Zosieńka przybiegała ze swojej izdebki słysząc krzyk ojca i matki, zawieszała się jemu na szyi, a matkę, którą kochała, jak Polka matkę swą umie kochać, po rękach i nogach całowała. Wychowanie Zosi odbywało się w klasztorze, gdzie też i najlepszych zasad wiary nabrała, i serduszko najpiękniejszem uczuciem wzbogaciła. Po ukończeniu lat 15tu powróciła do ojcowskiego domu, i odtąd już była rodziców swych wyręczycielką, prawie o cały zarząd domu się troszcząc. Panu Jacentemu nigdy na niczem nie zbywało, bo dobra córka znała wszystkie jego przywyczki i grymasy, i wszystkiemu zadość uczyniła. Kwitnął ten kwiateczek na chwałę Bogu i ludziom, i niejednemu już wpadał w oko. Bo to proszę jeno widzieć, jako się Zosiunia do kościoła ustroiła, a skromnie, choć już wtedy inne niewiasty zbytkownie się ubierały *), to na przechadzce zabłysła między rówienniczkami, jak owa najjaśniejsza gwiazda między tysiącem gwiazd na niebie, którą każdy chcąc nie chcąc zobaczyć musi najpierwej.

Chlubił się też pan burmistrz swoją gwiazdką, chlubił — między młodzieżą powiadał o niej z ironią:

Mam ci kwiatek w domu,
Lecz nie dam nikomu.

A chłopcom niższej kondycyi, z któremi pan burmistrz, pomimo swego herbu i swego majątku czasami przestawał, oskomina się robiła, co widząc pan Jacenty śmiejąc się dokończał:

*) Kromer Ks. III.

Ej robi się oskomina,
Bo to panie cud dziewczyna.

To też i nie zachodził nikt do państwa burmistrzostwa, a Zosieńka nikogo nie wyglądała, za nikim nie tęskniła jeszcze.

Z tych tedy trzech osób składała się cała rodzina i dom państwa Wyrębskich. Na mieszkanie nie potrzebowali więc wielkiego apartamentu; składał się też tenże z dwóch obszerniejszych komnat, których okna na rynek patrzały, a w których porządnie poustawiane nie wykwintne sprzęty, świadczyć miały o zamożności państwa Jacentów — i z izdebki Zosi i z osobnej komnaty pana Burmistrza, w której wysokie jak szafy łóżka kotarami zasłoniono. Była to sypialnia państwa i nareszcie kancelarya Jegomości. Na belkach, dzisiejsze sufity zastępujących, widzieć było można różne figle niezręcznie powyrzeźbiane, ściany przedstawiały różne freski scen z życia rycerskiego — to bitwę, to jaki sejmik, to wreszcie morowe powietrze, lub inne jakieś widowisko pamiątkowe — ale z penzla nie widać było szkoły włoskiej, z trudnością przychodziło odczytać myśl artysty. Sprzęty tak w tej, jak i w dwóch pierwszych komnatach składały się z ław w około ścian poustawianych, z podługowatego dębowego stołu, który stał na środku, z czterech szaf dość misternie wyrobionych, w których różne wyroby gliniane i gdzieniegdzie srebrne naczynia wyglądały, i z kilku wysokich, aksamitem czerwonym wybitych krzeseł, tu i owdzie po komnacie rozstawionych. W komnacie Jegomości między olbrzymiemi łóżkami stał ołtarzyk z krzyżem i cudownemi obrazkami, lampka ciągle na nim świeciła — a na przeciw tegoż, koło okrągłego w różne rzeźby ustrojonego pieca, ogromny kufer, skórą w żelazo oprawną, pokryty — bronił całego majątku państwa Wyrębskich, który w swojem drogocennem łonie piastował. Kufer ten okrywano często kilimkiem pstrokatym z sarniej lub jeleniej skóry wyrobionym. Były tam i pałasiki w kącie i kordelasik po ojcu, ale to wszystko w zaniedbaniu pominięte świadczyło, iż pan Jacenty nie był rycerskiego ducha. Książki nie uświadczyć było nigdzie. A w Zosieńki izdebce było ładnie i miło. I łóżeczko było wysokie i skrzyneczka na szaty zgrabniuteńka, i na ścianie malowidła święte i szafeczka i ołtarzyk z Matką Boską. Ława jedna blisko okna, krzesło drugie przy okienku, i wrzecionko, kołowrotek i książki na półce w ścianie utwierdzonej. Zosienka była pracowita, do kościoła Panny Maryi ona zawsze jakąś ofiarę swej ręcznej roboty zaniosła, a jakie to było piękne! jak delikatnie odrobione, moje Panie, dziś już takiej cierpliwości nie ma śladu między wami.

Była jeszcze jedna izba należąca do apartamentu państwa Wyrębskich — przeznaczona na kuchnię i na mieszkanie służby, do tej przechodziło się wąską i ciemną sionką po kilku schodkach.

II.

Snycerz.

W tem samem mieście jednakże na drugim jego końcu mieszkał młody mężczyzna, którego dom dopiero co opisany najwięcej z wszystkich Krakowian obchodził. Mężczyzna, o którym mówię był jeszcze młodym, przystojnym, wzrostu dobrego, oczów żarzących się ogniem nadziemskim — natchnionym. Na jego twarzy, na której cały obraz ognistej duszy się malował, czytać było można najszlachetniejsze wyrazy uczuć i myśli. Dom, który zamieszkiwał stał na przedmieściu zwanem Wesołą. Jedna obszerna choć prawie pusta izba, i do niej przytykający alkierzyk składały cały jego apartament. Okna wychodziły na wschód — pierwsze promienie wschodzącego słońca zaglądały najprzód do mieszkania naszego młodziana. Lecz czas już powiedzieć, kto on był.

Był to snycerz i rzeźbiarz. W czasach w których żył, sztuka jego nie stała w Polsce jeszcze tak wysoko, aby mistrzów dłuta ceniono po sztuce i natchnieniu — nie, ich uważano za rękodzielników, sztukę ich za rzemiosło. Snycerz był tak samo jako i rzeźbiarz rzemieślnikiem.

Czuł dobrze i rozumiał młody snycerz to swoje stanowisko w narodzie, który ukochał nadewszystko, w kraju, dla którego życie w ofierze by poniósł. Pomimo to jednakże nie odstępował raz obranej drogi swego zawodu. Gieniusz jego był mu stokroć wyższą nagrodą walk i trudów, aniżeli by być mogła pochwała obłudnych pochlebców. Sztuka dla której żył, którą całą miłością ognistej duszy mistrza ukochał — była mu przyjaciołką, kochanką, sławą. O żadną też z tych trzech rzeczy, nie ubiegał się nigdy mając najwyższe zdolności do posiadania wszystkich. Od młodości oddany dłutu, sam sobie wystawiony, bo sierota, pracował dnie i noce nad owładnięciem formy, bez której najwznioślejsze myśli, najgienialniejsze pomysły żyć nie mogą. Wkrótce też stał się jej panem. Roboty jego z drzewa zwracały uwagę znawców, mianowicie zaś cudzoziemców przebywających w Krakowie. Postępy robił wielkie, w dniu, w którym naszą powieść rozpoczynamy ukończył właśnie jedno wielkie snycerskie dzieło, które mu lat dwanaście zabrało. Było to r. 1489 około święta Jakóba śgo. O to pod dachem domu, umyślnie do jego zatrudnienia przyrządzonym, wznosi się arcydzieło ołtarz, który niezadługo zdumiewać będzie wszystkich. Mistrz, twórca jego stanął przed nim. Odsunął zakrywającą go zasłonę, a promienie wschodzącego słońca ozłociły boskie postacie Maryi, Matki Chrystusa i jego 12 apostołów. Scena przedstawia zaśnięcie Boga Rodzicy przed Jej wniebowzięciem.... Usnęła Matka Boga-człowieka: usnęła Matka Dziewica. Spokój i boska potęga piękne jej rysy niby idealną jakąś szatą zakryły. Spi, a dusza jej wznosi się przed tron Stwórcy — koło niej wyznawcy jej syna, z wiarą i objawieniem poddają się wyrokom Stwórcy, który im ostatni widomy skarb po ich mistrzu pozostały zabiera. I patrzą się nie szemrząc, w niebo, wszyscy spokojni, pełni świętości i namaszczenia. A obraz ten cały przyozdobiony mnóstwem religijnych scen z życia Chrystusa Pana — ogromnych rozmiarów. Kolosalnej wielkości postacie żyją — i ledwie, że nie przemówią do ciebie. I ujrzawszy go, klękasz od razu przed nim, jak przed świętością i przyznajesz, że ten kto stworzył, musiał go w ideale duszy swej wypieścić najświętszą wiarą, najświętszą miłością, i przyznajesz, że w duszy twórcy tego ołtarza, musiało w chwilach tworzenia rodzić się rzeczywiste niebo uczuć, rzeczywista potęga twórcy arcydzieła. Tak — przyznać to musi każdy.

Wszak znacie ołtarz wielki w kościele Panny Maryi w Krakowie. Oto jego mistrz wpatrnje się weń z trwogą. Ten młody snycerz: to Wit-Stwosz. Arcydzieło jego to ołtarz dla kościoła Panny Maryi. Do wykończenia jego składka mieszczan krakowskich zaledwie mu dopomogła, 2808 złotych zebrano i dano mistrzowi. (Ratusz nie dał nic). Lecz czemuż mistrz taki niezadowolniony ze swojego utworu. Wszak każdy kto długą pracę ukończy cieszy się jej widokiem? Tak jest — lecz nie wszyscy twórcy jednej potęgi ducha mają w sobie. Im silniej w świecie naszego ducha narysowała się postać ideału, którą później dłutem, penzlem czy piórem w for-

mę ubieramy — tem trudniej dokonane dzieło pogodzić z owym ideałem. Mistrza ideał wyżej zawsze stoi od tworu, choćby w najgienialniejsze przystrojonego formy. Wit-Stwosz to czuje, widzi to, gniewa go, i oto załamując ręce tak woła:

— I toż to zrodziło się w mej duszy!? Gdzież te święte uczucia, które wypiastowałem w mem sercu — gdzie ten ogień, który mnie zapalał do dzieła — gdzie to natchnienie, które mi kazało porwać nóż do ręki! Tu tego wszystkiego ni śladu, skarłowaciało wszystko, omdlało, ani pół życia tego nie wldzę, jakie tu w duszy drgało w chwilach natchnienia. A jam się tak modlił gorąco do ciebie Panie mój! Jam tyle nocy bezsennych na modlitwie przepędził. I nie wysłuchałeś mię o Boże, jam nie dokonał tego, com zamierzył, jam zabluźnił świętości Najświętszej Boga-Rodzicy-Dziewicy!...

I w uniesieniu mistrzowskiem załamawszy ręce, zakrył oczy — i chwilkę w cichej rozpaczy stał jeszcze przed pomnikiem swoim. Piękny to był widok! Z niebios Bóg wieńczył skroń mistrza złotemi promieńmi słońca — a osoby święte w ołtarzu radowały się pokorą swego twórcy...

Lecz mistrz Wit był także i rzeźbiarzem. Wkrótce ujrzymy jego arcydzieło rzeźbiarskie.

III.

Przyjaciele.

Gdy tak chwile dobrą w milczeniu bolesnem spędził znakomity artysta, z jakąś nareszcie rezygnacyą spojrzał raz ostatni w ołtarz, ściągnął nań zasłonę, i szybkiemi kroki pospieszył do swego mieszkania. Tam nowa czekała go walka. Zaledwie kilka razy przemierzył dość długą komnatę, zatrzymał się znowu przed popiersiem własnego dłuta, okrytem niebieską zasłoną. Odkrył je, spojrzał, i stojąc milczący przed niem, gorzkiemi łzami zapłakał.

Była to najtrafniejsza rzeźba Zofii Wyrębskiej.

Wit ją poznał na nabożeństwie w katedrze. A kto z duszą ognistą pozna raz pierwszy piękną dziewicę — Polkę — modlącą się szczerze w kościele, temu ta znajomość głęboką pamięcią utkwi się w sercu, dla tego ta pamięć czemś więcej niżli pamięcią zostaje. Wit widział Zofię modlącą się gorąco. W oczach jej świeciły łzy wiary. A łzy wiary w oczach dziewicy, to najwierniejsze zwierciadło jej duszy, w którem się cała jej istota maluje. Więc przejrzał do głębi duszę Zosieńki, artysta, a obraz jej dusza jego na wieki pochłonęła w siebie. I powróciwszy do domu wyrzeźbił natychmiast ideał piękności dziewiczej, a ten był odtąd dla niego ołtarzem, przed którym uklękał codziennie, był bóstwem, do którego się modlił. Później widział on kilka razy Zofię, to w kościele, to na ulicy; uczucie, które w duszy jego powstało po pierwszem ujrzeniu jej pięknych oczów — rosło za każdem nowem jej widzeniem. Nigdy jednakże nie zbliżył się do niej, chociaż, mówiąc nareszcie słowem romansopisarskiem, kochał ją najgorętszą miłością. Sam wstrzymywał się od tego zbliżenia się. Czuł dobrze, jakeśmy to już wyżej powiedzieli, jak niskie wówczas w społeczeństwie zajmował stanowisko, rzeźbiarz z niemiecka kunsztmistrzem zwany, widział tę nieprzebytą przestrzeń jaka go dzieliła od córki burmistrza, i nigdy, jak mówił, tej zuchwałej myśli nie dozwolił rodzić się w swej duszy, aby on, prosty rzeźbiarz, trudniący się tylko jak mówiono rzemiosłem, mógł prosić o rękę Zofii. Tak więc czując niemożebność wstępu w jej dom rodzicielski, cieszył się tylko jej widokiem. A jeżli przypadkiem i ona mimowoli na niego spojrzała, jeżli się ich spojrzenia spotkały ze sobą – zdawało się mu wtedy, że ona czyta w jego duszy to wszystko, czego jej wypowiedzieć on nie śmie. Wyobraźnia artysty stwarza nieraz najniepodobniejsze do prawdy przypuszczenia, a jeżeli ją jeszcze miłość ogrzewa, wtedy tak jest twórczą w pomysły, że o ich urzeczywistnieniu nikt ani pomyśleć nie może. Tak było z Witem. W takiem usposobieniu patrzył się w postać swego dłuta, i zdawało się mu, że oczy posągowej Zofii, wglądają do duszy jego.

— A jednak, rzekł po chwili sam do siebie, jednak tak dłużej pozostać to nie może. Utraciłem spokój duszy — święte i czyste chwile natchnienia zmąciłem daremnem o niej marzeniem, i Bóg odrzuci mię od siebie i ukarze za to, że iskrę jego natchnienia pokalam boleścią ziemskiej miłości.

Ledwie skończył te gorzkie słowa, gdy staroświeckie drzwi komnaty się otwarły, i w nich ukazała się postać dziwnie jak na ówczesne polskie zwyczaje przybrana.

— Wicie! zawołał wchodzący, miłym i serdecznym głosem.

— Fryderyk! odpowiedział Wit zbudzony z swej zadumy, i czemprędzej wybiegł ku drzwiom na powitanie najdroższego swego przyjaciela, z którym się już pół roku nie widział.

Serdeczne powitanie dwóch oddalonych od siebie czas dłuższy przyjaciół nie potrzebuje zapewne słownego opisu. Dość sądzę, będzie nadmienić tutaj, iż przyjaźń między tymi dwoma ludźmi była prawdziwą, szczerą — nie na podstawie ziemskiej rachuby opartą, lecz owszem wiążącą ich dusze i serca spólnością natchnienia tem silniej, tem stalej. Pięknej i ujmującej postawy, czarnemi błyszczący oczami Fryderyk miał poetyczną duszę. Rzecz wiadoma ile spólnego dusza artysty dłuta może mieć z duszą artysty lutni. Fryderyk pieśni swych nie pisał nigdy, on je tylko wraz z całą melodyą boskich akordów na lutni wygrywał, a każde czucie w pieśni jego zawarte, zarówno silnie słowem, jako też i nutą było wypowiedziane.

Spomnieliśmy wyżej że Fryderyk ukazał się w dziwnym jak na owe czasy stroju, tu dodamy, że strój jego, strój niemieckiego minstrela tem jeszcze dziwniejszym się okaże, gdy się czytelnicy dowiedzą, że ten Fryderyk, ten przyjaciel Wita, ten śpiewak, jest synem panującego w Polsce króla, biskupem krakowskim i kardynałem. Lecz przebaczmy mu to jego dziwactwo. Czyste jego i pełne miłości serce, choć później stósunkami z ludźmi poniekąd popsute, w młodości godnem niezawodnie było przyjaźni takiego serca artystycznego, jakie w piersi Wita uderzało. Są pewne namiętności, pewne że tak powiem narowy, których zaspokojenia często stanowi człowieka i jego powołaniu nie odpowiadają, których pokonanie byłoby niezawodnie cnotą, które jednakże jego moralnej wartości zupełnie zniweczyć nie mogą, przy których człowiek może być godnym, zacnym i na poszanowanie zasługującym u drugich. Taką namiętnością Fryderyka było podejmowanie na siebie charakteru, godności kardynalskiej nie odpowiedniego — charakteru niemieckiego minstrela, tułającego się z gotową na każdą okoliczność piosnką na ustach po dworach szlacheckich, niby to po niemieckich zamkach. Pozwalam sobie przebaczyć mu tę namiętność, choć późniejszego jego upadku moralnego nigdy mu nie przebaczę — owszem wraz z Kromerem Marcinem powtórzę tutaj o nim: „iż koniec jego życia był marnym, jako marnym był żywot cały.“

Przebaczam mu zaś jedynie dla miłości, jaką sobie w całym naszym narodzie zyskał nieśmiertelny nasz

Wit, którego on był przyjacielem, który mu wszystkie tajemnice swego serca odkrywał. Wit znał go jednakże jako minstrela. O jego prawdziwym stanie i godności nic nie wiedział, Fryderyk z tem ukrywał się przed Witem. Wszedłszy do mieszkania jego, poznał odrazu Fryderyk z wyrazu twarzy swego przyjaciela, że wiele cierpi, że jakieś bolesne zmiany przeszedł w czasie ich niewidzenia się ze sobą. Po serdecznem tedy przywitaniu zapytał się z gorącą troskliwością: — A co ci Wicie? Ty cierpisz! Mów, ja czytam z twego oblicza.

— Domyślnyś i przenikliwy mój minstrelu. Odgadłeś odrazu moję duszę, w nią wiele niepokoju zakradło się w tych czasach. Lecz ja — rzeźbiarz całą tę boleść moję powiem ci słowem dłuta — oto patrz! To mówiąc ukazał mu głowę cudownej piękności dziewicy... nad której widokiem zdumiał się wielce minstrel. Wit milcząco przypatrywał się swemu przyjacielowi, w duszy zaś jego odbywała się cała walka historyi z Zosienką na nowo.

(C. d. n.)

Wystawa powszechna
Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych
w r. 1861.

Ku dobru krajowemu i ku podniesieniu u nas dość nisko stojącej sztuki malarstwa, ku zbliżeniu do siebie rozpierzchniętej braci penzla, i wreszcie ku wspieraniu materyalnemu biednych a zdolnych, chcących a niemogących pracować artystów zawiązało się w Krakowie w r. 1853 Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych, i już od tego czasu z całą starannością, czynności swe do dziś dnia rozwija. Jednem z najważniejszych działaniem tego towarzy twa, jest rok rocznie urządzana wystawa powszechna, której celem niezawodnie być miało zgromadzenie o ile możności największej liczby utworów polskich malarzy, ukazanie ich oczom publiczności, a tem samem wydobycie, nieraz zdarzyć się mogące, talentu prawdziwego z ukrycia, któryby bez tego podania mu braterskiej ręki, może nigdy niedoczekał się uznania pracy swojej i słusznie należącej się mu chwały. W tym celu uwaga urządzających wystawę zapewne daje pierwszeństwo każdej ojczystej pracy. Mimo to jednakże na tegorocznej wystawie między 88ma obrazami (objętemi w niekompletnym wprawdzie katalogu, gdyż od jego wydrukowania, kilka jeszcze obrazów przybyło), napotykamy bolesny dla nas stosunek liczby prac obcych do naszych. Na 88 bowiem obrazów przypada 63 nie naszych. A boleśniejszym jeszcze przedstawia się nam obraz małego zbiorku dzieł polskich, gdy rozpatrzywszy się w nich uważnie a bacznie, nie dostrzeżemy ani jednego prawdziwie genialnego utworu. Widzimy tu wprawdzie dzieła znanych i cenionych w Polsce talentów jak np. Leopolda Löfflera, Pilatego, Szermentowskiego, Sypniewskiego — ale za to prócz Gryglewskiego nie złego widoku Bożego Ciała; prócz Jaroszyńskiego wcale nie historycznej wartości, historycznego Kazimierza Puławskiego; Suchodolskiego, bez religijnej wzniosłości, religijnego obrazu narodzenia Pana Jezusa; i nareszcie prócz nieszczęśliwych, więcej teatralnych niż dramatycznych scen J. Maholda z „Maryi" — nie widzimy nic na szczegółową zasługującego wzmiankę. Pana Löfflera obrazki mają charakter, mają dowcip żywy i naturalny, osoby wszystkie dwóch jego scen z życia: *Pokusa* i *Oracya zapomniana*, są typowe — ale czemuż nie nasze, nie polskie? Pozwalam tu sobie zrobić tę uwagę, iż w oracyi zapomnianej, gdyby taka scena u nas się zdarzyła, nie byłby potrzebnym ów charakterystyczny zagniewany i zaturbowany sufler — bo Polak ojciec czy dziad *oratora*, widząc jego pomyłkę czyli *zacięcie się* w mowie, porwał by go na kolana, uściskał, ucałował, i nie żądał już dalszego ciągu ułożonej na popis przez dozorcę domowego oracyi. Pana Pilatego obrazki przedstawiają pełne życia i ruchu sceny z życia wiejskiego. Wesele przed karczmą i w karczmie. Poświęcenie broni Sypniewskiego ma pewien uroczysty charakter, który obrazowi, nie zupełnie doskonałemu, dużo dodaje wartości. Nie objęte w katalogu utwory Piotrowskiego z Królewca, (którego śliczna Wanda dostanie się członkom T. P. S. P. na premium), a przedstawiające wieśniaczkę radującą się z swego męża, a później z swego dziecięcia — noszą na sobie cechy tego wysokiego talentu, jakim się p Piotrowski odznacza, mimo to jednakże *nużą* oko monotonnością charakterów twarzy wiejskich, którą to monotonność znawcy manierą nazywają.

(c. d. n.)

Przyczynek
do historyi nowożytnej oświaty.

Jednym z prawdziwych stopni oświaty, jest niezaprzeczenie stopień czci i uszanowania płci pięknej. Im który naród lepiej dojrzał, im serce jego promienie chrześciańskiej cywilizacyi gorręcej ogrzały, tem też bardziej i goręcej umie ocenić kobietę, której chrześciaństwo dopiero prawdziwą godność wyjednało w świecie.

Mimo tego jednak zdarza się, iż narody ucywilizowane, a nawet do cywilizowania większej części świata roszczące sobie pretensye, nie stanęły jeszcze tak wysoko, aby umiały należycie płeć piękną szanować, i wzdrygnąć się na każde wyrządzone jej ubliżenie. Oto donosi fejletonista Pressy wiedeńskiej o zdarzeniu charakteryzującem pospólstwo berlińskie. Autor zestawia je z londyńskiem, o którem tak pisze: Najniższe warstwy społeczeństwa londyńskiego, składają się z niezliczonej masy prawdziwej hołoty, ale przecież przy całym moralnym upadku nie zbywa jej na naiwnej dobroduszności, na uszanowaniu możnych i bogatych, z których się chełpi, za wyższe istoty prawie ich uważając. Przeciwnie berlińskie pospólstwo *nie uznaje* żadnej wyższości i powagi, żadnej, ani społecznej ani pieniężnej przewagi, i w dzień biały bezczelnie miota na ulicy obelgi i znieważa każdego, ktokolwiek jedwabiem zaszeleści; sam byłem świadkiem i przeszyło mię to do głębi duszy, jak kilku najostatecźniejszych oberwańców spostrzegłszy damę piękną i poważną, której wiatr podszewkę jedwabną od płaszcza był odwinął, bezczelnie na całe gardło zawołało: „No ta b.... musi także mieć jedwabną podszewkę!" W Londynie gbury najrubaszniejsze pomściły by taką brutalność, płci pięknej wyrządzoną pięściami, w Ameryce możeby nawet sprawców zakłuto. Czy w Berlinie nawet piękność i gracya — ta prawdziwa królowa i najwolniejszych narodów, panowania swego nie rozpostarła."

I tak to filozofowie w tych nowych Atenach nad Spreą, ci Koryfeusze germańskiego społeczeństwa młodszych swych braci nawet do tego stopnia nieucywilizowali; a ta moralna hołota wybiera się nieść światło cywilizacyi na wschód barbarzyński?

Wiadomość literacka.

W drukarni Ż. I. Wywiałkowskiego, odznaczającej się starannem i pięknem wykonywaniem poleconych sobie druków, wyszła temi dniami książka naukowej treści, tem więcej nas obchodząca, że się ojczystej mowy i jej pisowni dotyczy. Tytuł jej: *Brzmienie głosek polskich i pisownia polska* przez *Edwarda Sochańskiego*. Pisownia nasza, nad której przepisami ustawicznie trwające spory dotąd rozstrzygnięte nie są, podlegając od najpiękniejszego naszej literatury wieku, najrozliczniejszym zmianom, nie ma jeszcze stałych, że tak powiem punktów swego oparcia, któreby jej ktoś z uczonych naszych, zapewniał, i dla tego tak rozmaicie przedstawianą i przemienianą bywa. Autor książki, o której czynimy tu wzmiankę, wprowadza także do swej o pisowni polskiej teoryi, zupełnie nowe pojęcia i podziały zgłosek zowiąc je *łatwogłoskami*, *trudnogłoskami* i *złatwogłoskami*; czyli zaś ta jego nowość dostatecznie jest w tem dziełku uzasadnioną, niechcąc od razu na niekorzyść autora orzekać, zostawiamy na to odpowiedź bieglejszym i ściślej ten przedmiot badającym. Nie możemy tu jednakże pominąć wzoru doskonałości naszej pisowni, *do której zwolna dążyć trzeba*. Na karcie 68 przytacza autor jako wzór: „*Ojcze nasz, ktoryś jest w ńebje: Swjęć śę imje Twoje. Przyjdź krolestwo Twoje. Bądź wola Twoja jako w ńebje, tak i na źemi*" itd. A nieco niżej: „*Czarne morze zamarza ńekjedy w źimje*". itd. Nie wyrzekając stanowczego o tej pisowni zdania, sądzimy, iż doprowadzenie naszego sposobu pisania do tej doskonałości, byłoby raczej cofnięciem się wstecz, aniżeli postępem. Spominamy sobie bowiem wydanie *Maryi* Malczewskiego, poświęcone Klaudynie Potockiej, w Londynie; w niem właśnie taka jest zachowana pisownia — z uczonych naszych nikt jej jednakże ani wtedy ani później nie pochwalił.

Sprostowanie:
Nr 15, str. 8, szpalta 1, wiersz 21 od dołu, zamiast: etków, czytaj: *elków*; szp. 2, w. 38 od dołu, z.: szukal, c.: szakal; szp. 3, w. 29 od dołu, z.: bażantów, czyt.: baranów: szp. 3, w. 33 od dołu, z.: (runiare), cz.: (runiarz).

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk. Antoni Rother.